

Rozgrzana słońcem, lessowa wyżyna, porośnięta jest rozrzuconymi kępami drzew, wciśniętymi w liczne rozpadliny, wąwozy i jary. To pamiątki po dawnej, bogatej, ojcowskiej puszczy, która zapewne kiedyś wydawała się być wieczną, i dla niejednego człowieka była nieprzebytym światem, domem i grobem. Tak być może było. Teraz na jej miejscu rozciągają się pola – brzuchate olbrzymy, rozłożone nad małymi rzeczkami, o brązowej, chropowatej skórze, która po ulewnym deszczu paruje ciężko, roznosząc w powietrzu zapachy minerałów i próchnicy. Krańce tych pól opadają stromymi zboczami ku rzekom, a całe ich bogactwo form życia pulsuje, szumi, brzęczy, to znowu zastyga bez ruchu w południowym skwarze, zdając się czekać na te letnie okresy, kiedy rzeka wylewa się pod ich stopy błyszczącymi w słońcu jeziorami, aby mogły przeglądać się w nich i prowadzić chaotyczne rozmowy z szumiącą nieśmiało na dole wodą.

Aby jednak zostać tego świadkiem, należy poznać pewną tajemnicę; tajemnicę bytujących tutaj zwierząt, lub co najmniej zapędzających się tu podczas swoich wojennych wypraw dzieci. Należy znać ścieżki które do nich prowadzą.

Na górze, od strony pól, strome zbocza otoczone są gęstą płataniną kolczastych tarnin i głógów. Stare krzewy tarnin mają gałęzie grube i długie kolce. Osadzone na nich drobne, soczystozielone listki, naprężone, niezmordowanie pracują dniem i nocą aby wyżywić przerośnięte gałęzie. Zdają się być tym tak zajęte, że nie zwracają uwagi na to, co dzieje się w koło. Stoją sztywno na swych krótkich szypułkach, nieruszane wiatrem, a nieuważne ptaki harcując wśród gałęzi obtrącają je na ziemię. Pod koniec lata uzbiera się ich gruby, brązowozielony dywan. Inaczej głogi. Te są mniejsze. Wiotkie, pojedyncze krzewy powplatanie w gąszcz tarniny. Cudownie wyglądają jesienią. Co roku obsypują się nienaturalnie ogromną ilością czerwonych owoców. Ich gałęzie wyglądają jak grube wełniane szale, a z dalszej odległości, jak jaskrawoczerwone serpentyny porozwieszane na poplątanych gałęziach tarnin.

W tej zielono - czerwonej mozaice niełatwo zauważyć jest miejsca w których zaczynają się ścieżki prowadzące na strome, tętniące życiem zbocza. Potem wszak trzeba się jeszcze przedrzeć przez kolczaste zasieki.

Znam jedną z tych ścieżek; chodzę nią często, wiele razy w ciągu lata, niekiedy także zimą.

Gdy się już jest po drugiej stronie tarnin, ścieżka opada szybko, prawie pionowo w dół, prowadząc do bardziej płaskiego, rozgrzanego słońcem tarasu, porośniętego wysokimi ostnicami – ostre, żółtawosrebrne futro traw falujące na wietrze, pochylone ku niższemu partiom stoku, jakby w tęsknocie za odrobiną wilgoci której jest tam znacznie więcej. Po lewej stronie tzn. od wschodu, trochę niżej, tam gdzie płaski taras urywa się wypukłym grzbietem, a trawa staje się mniejsza i bardziej zielona, już wczesnym latem można zobaczyć coś ładnego, mianowicie tysiące bardzo krótkich, małych i delikatnych, fioletowych goździków, które całymi gromadami opadają wzdłuż zbocza, niczym soczyste plamy, niczym delikatny, rześki powiew lub jakiś nalot. Po prawej stronie falują trawy. Rośnie tu także kilka gatunków róż, których nie uświadczysz nigdzie indziej. W południe, rozgrzane słońcem powietrze drży, róże pachną niczym magiczny, senny ogród, a pomiędzy nimi fruwać majestatyczne, kolorowe motyle – *Vanessa cardui*, *Heodes* i osadniki - oraz niezgrabne wojsiłki, których ciężki, rozchwiany lot przywodzi na myśl te wszystkie smutne chwile dorastającego życia, kiedy to wymagania własnego bytu toczą zacięty spór z otaczającym światem o własną drogę naprzód.

Po chwili zbocze znowu staje się strome, a ścieżka nie biegnie prosto w dół, lecz skręcając najpierw w lewo, to znów w prawo, przybiera postać wijącego się strumienia, dzięki czemu, mimo dużej stromizny, można kroczyć po niej dosyć pewnie i w wolnym tempie.

Mijam żylaste, pokrzywione i pogarbione karłowate grusze, z rozcapierzonymi koronami, poprzetykane krzewinkami stepowych wisienek, wszystko jak południowy, parujący gorącem, oliwny ogród. Ileż to razy obiecywałem sobie usiąść w tym miejscu z dobrym podręcznikiem do botaniki. Mijam rozwichrzone połacie dziurawców, chwiejące się na giętkich łodygach, i wijące się jak węże, wytrwałe powojniki.

Już po chwili, rozogniony, stoję na najniższej krawędzi stoku. Pod nogami, ziemia obsypuje się drobnymi grudkami, a w dali rozpościera się widok jaskrawej w słońcu, płaskiej, poukładanej w kratownicę pól, rzecznej doliny.

Zwykłem przystawać tutaj i opierając się o samotny, chłodny pień kruszyny, patrzeć na świat. Poniżej, rozlane rzeczne jeziorka mrugają refleksującym światłem, a wytrawni, więcej wędkarze stoją na swych opalonych nogach, zanurzając w płytkiej wodzie długie, drewniane wędki.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

wojbrod, dodano 17.11.2017 09:41

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.